

PISEMKO KUŹNICZANEK

MIESIĘCZNIK

Rok VII. Nr. 8 Prenumerata roczna 4.50 Sierpień i Wrzesień 1927.

MODLITWA O SIŁĘ.

Błagam Cię, Boże, o siłę. Patrz, oto niemocna jestem i wymęczona bardzo, a wokół pracy ogrom czeka na mnie. Nie proszę Cię, byś pracę mi odjął, ale proszę, byś mi dał moc dla wypełnienia zadania mego.

Daj nogom moim siłę, aby się nie leniły ku postudze braci, lecz chodziły pilnie drogami, któreś mi nazaczył na każdy dzień. Daj, by nie zboczyły nigdy na manowce.

Ręką moim daj sprawność i moc, by spełniały czynności dla nich stosowne, robiąc wszystko dobrze, dokładnie i wytrwale; by się nie cofały przed żadną pracą, ani przed tą, która jest im wstrętną, ale potrzebną jest właśnie, ani przed tą najmisterniejszą, której tknąć nie śmię z bojaźni, że ją popsuję.

Barkom moim daj siłę, by ohotnie niosły brzemie dni, szarych czy promiennych, z których splotłeś moje życie.

Oczom moim daj bystry wzrok, wpatrzony zawsze w cel dobry, a naucz je także widzieć każdą nędzę, która woła o moją pomoc.

Myślom moim daj spokój i rozwagę, daj zrozumienie życia, które się toczy wokół mnie; uczyni by były mądre, sprawiedliwe i czyste.

Daj sercu mojemu żar miłości wszystkiego co dobre i każdego, który cierpi.

A przede wszystkim wolę moją umocnij, o Panie, by prawdziwie chciała tego, czego zda się pragnąć.

Pokrzep, Panie, ciało moje mdłe, wesprzyj ducha, który z głębokości niemocy wzywa wspomnienia Twego.

Wierzę, że miarkując wiatr do wełny jagnięcia, nie ześlesz na mnie nic takiego, czegobym znieść nie była w stanie; że nie obarczysz mnie ciężarem ponad siły. Wierzę w to mocno, ale błagam, Panie, byś



Ob. 2280 / 1927 / 8-9

w chwilach słabości był moją podporą, w chwilach pokusy moją tarczą i ostoją, w chwilach zwątpienia mojem pokrzepieniem radosnem.

A gdy siłę dasz mi, Panie, daj mi wtedy także pokorę, abym darów Twoich nie przypisywała sobie, lecz pamiętała wciąż, że jest jeno naczyniem, Ty zaś siłą.

Niechaj nie zatrzymuję darów Twoich dla siebie, chełpiąc się niemi radośnie, lecz niechaj ich używam dla ludzi i dla pomnożenia chwały Twojej. Niechaj dzięki Twoim darom, mnożą się serca Ciebie miłujące; a jeśli przytem cząstka miłości ludzkiej ku mnie się zwróci, spraw, bym czuła zawsze, że nie mnie ludzie kochają, jeno tę iskierkę, którą Ci się spodobało zapalić w mojej duszy.

Z. A. Borowska.

Z życia P. Jenerałowej. (mężatka) 25.

Wystawiam sobie, że mój mąż musiał nieraz z niepokojem myśleć jak żona jego, która nigdy nic nie widziała i nigdy nigdzie nie była, znajdzie się wśród wybrednego świata, do którego dostać się miała; to też jak mu kto co o mnie miłego powiedział, bardzo był na to czuły. Któregoś dnia poszliśmy na przechadzkę. Ja z pannią Liżą chodziłam na przodzie, a mój mąż z panem Zygmuntem za nami. Za powrotem, mój mąż mi powiedział: „Zygmunt mówi, że się trzymasz i chodzisz jak królowa“.

Odwiedziny p. p. Krasieńskich były dla mnie wielkiem dobrodziejstwem. Zygmunt Krasieński rozmawiając z moim mężem i na rozmowę go wyciągając o najrozmaitszych przedmiotach, wskrzesił nanowo przedemną to wszystko, co dla mnie tak urocze w nim było, a czego już nie widziałam wcale. Nie widziałam w nim niczego, tylko to, że on był powodem mego zamięścia. — Cała rozmowa Zyg. Krasieńskiego rozum mi przywróciła do jakiejś równowagi. Coraz mi się o to, lub owo pytał, zdanie moje wywoływał i nie dał się zasklepić w milczącej bierności. Pani Krasieńska też mi oddała niemałą przysługę; pytała jak sobie życie w Paryżu myślę ułożyć; mówiła, że kaźden z początku będzie mnie ciekawy i że muszę tę ciekawość zaspokoić w sposób dla mego męża pochlebny, że nie trzeba żebym cierpiała w jego

oczach na porównaniu jakie czynić będzie, między mną, a innymi kobietami. Mówiła, że nie mogą żadną miarą poprzestać na tem, ażeby być bierną i posłuszną. Że żona mego męża musi mieć swoje stanowisko, że się z nią ludzie liczyć muszą. Nareszcie powiedziała mi, że powinnam się dobrze ubierać, przynajmniej pierwszego roku zrobić sobie sławę jakiejś elegancji, a że jak ją sobie raz ustale, to będę mogła potem robić co zechcę, że już ludzie ślepo wierzyć będą, że to co robię musi być dobre. Że trzeba, ażeby mój mąż podobał sobie we wszystkim co ja robię i miał stąd zaszczyt.

Oboje mówili mi, że to taka radość myśleć, że mój mąż znalazł nareszcie domowe ognisko i szczęście domowe. Mnie zaś sumienie mówiło, że żyć z taką bierną milczącą kłódą, nie może mu szczęścia żadnego przynieść.

Ale nie widziałam lekarstwa. W mojem mniemaniu zamęcie stanowiło koniec życia duchowego i umysłowego, jednym słowem śmierć. A jakże śmierć miała się przyczynić do życia i szczęścia? Nie mogłam tego wszystkiego ze sobą pogodzić. Przypomniał mi się pewien żart mego brata, że nato, ażeby w zamęczeniu z dwojga zrobiło się jedno, trzeba ażeby każdy połowę swojej wartości stracił. W moich oczach nie połowę, ale całość i tę wartość moją straciłam i to nieodzwrotnie.

Skądinąd stosunki z Krasińskimi trochę mi zaczęły zbakierzone myśli prostować. Mówiąc ciągle o tem, co mam robić, o co mam się starać i t. p. dali mi uczucie, że nie mogę ręk założyć w mniemaniu, że już życie skończone i że mimo to, że nie jest takiem o jakim sobie marzyłam, to jednak jakieś jest i jakieś być musi.

Z Heidelbergu pojechaliśmy do Badenu i tam przepędziliśmy jakiś czas w codziennym z Krasińskimi stosunku. Mieli oni troje cudnych dzieci. Winterhalter zrobił portret pani Krasińskiej z córeczką na kolanach i chłopcami obok niej stojącymi. Nie wiem czy podobna dla malarza mieć pojętniejsze wzory.

Michał służący mego męża, dziwak pierwszorzędny, o którym możnaby książkę całą napisać, był z nami w Badenie. Razu jednego pan Zygmunt go zaczepia mówiąc: „a co Michale, czy ładne mam dzieci?” Michał patrzy na niego z góry i odpowiada: „Będziemy i my takie mieli”.

Ta przepowiednia trochę mnie zastanowiła i patrząc na tę śliczną trójkę państwa Krasieńskich, nie mogłam się nie pytać siebie, czy to stanowi korzyść i szczęście, czy też szczyt ostatecznej niedoli.

Jedna rzecz potrochu wyjaśniła mi się, że mężczyzna żeniąc się, ostatecznie nie zmusza tej co za niego idzie, ażeby to uczyniła, że ma zatem prawo spodziewać się, że się ona do szczęścia jego przyczyni; a że kobieta idąc za mąż dobrowolnie przyjmuje na siebie obowiązek uszczęśliwiania go i że jeżeli tego nie czyni; to poprostu go oszukuje i w sprawiedliwym oczekiwaniu zawodzi. *Zrozumiałam, że memu mężowi czegoś więcej potrzeba jak jedynie biernego postuszeństwa z mojej strony i że do szczęścia ma prawo.* Że rozmowa moja nie mogła się ograniczać na potakiwaniu cudzym zdaniom i myślom, że ostatnie zadanie kobiety zamężnej nie zależy na tem, aby stać się mumią. Parę razy nawet przy stole u pp. Krasieńskich zdarzyło się, że rozmawiałam naprawdę, a nawet rozśmiałam się, co mi się nie było zdarzyło od wielu miesięcy i o czem byłam przekonana, że zdarzyć się więcej nigdy nie może. Zaczynałam więc rozmawiać, a P. Kr. powiedział kiedyś memu mężowi: „Twoja żona to nie byle kto, wychowaj ją sobie, a wiele ci szczęścia przyniesie“. Jak mi mój mąż to powtórzył, pomyślałam sobie raz więcej, że zamęście oczywiście wszystko do reszty w kobiecie wytępia, boć ja dotychczas uchodziłam za już wychowaną, a teraz to wszystko co było nie liczy się za nic. Trzeba znowu zaczynać nanowo i coś zupełnie innego.

Przed wyjazdem z Badenu pan Krasieński któregoś dnia przychodząc do nas, zastał Michała palącego wyśmienite tureckie cygaretki i mówi mu: „Panie Michale, coś to bardzo dobry tytoń palicie“. A Michał: „mój obcym go nie żałuje, a miałby żałować swojemu“.

Pan Zygmunt rozkoszował się w rozmowach z Michałem, czasem przysiadł się przy nim i kazał sobie dzieje jego opowiadać. Dzieje to były w istocie dosyć nadzwyczajne. Warszawski podrzutek, wywieziony przez Moskali w głąb Rosji na osiedlenie, potem zaciągnięty do wojska, wzięty w niewolę w czasie wojny przez Czerkiesów, sprzedany przez nich Persom, za sztukę płótna, używany przez nich do orania roli, w zapręgu z wołem, lub krową, uciekł z Persji i nie wiadomo jaką drogą

i jakim sposobem dostał się nad Nil roku 1846 właśnie kiedy mój mąż wskutek ciężkiej choroby z rozkazu lekarzy podróż na Nilu i do ziemi świętej odbywał z bratem Zdzisławem, dla rozrywki i wypoczynku. — Płynąc tak Nilem pod górę, widział idącego w przeciwnym kierunku t. j. z biegiem rzeki człowieka nie mającego na sobie ani jednej nitki ubrania, z wyjątkiem ogromnego słomianego kapelusza; kapelusz ten trochę twarz od opalenia chronił i póki ciało całe opalone było niemal jakby u nubianina, twarz i włosy zdradzały północnego blondyna.

Widząc to niezwykle zjawisko, mój mąż odrazu przyszedł na myśl, że chyba Polak. Kazał łodzi przybić do brzegu i wprost do tego człowieka podszedł i po polsku zagadał. Był to nasz przysły kamerdyner Michał. Zmieszał się nieborak niezmiernie myśląc, że to Persowie go łapać każą napowrót. Ale słysząc polską mowę trochę się uspokoił; jednak acz rozumiał w głównej części co się do niego mówiło, zupełnie sam nic mówić nie mógł, zupełnie był po polsku zapomniał; jąkał się, wszystkie języki ze sobą mieszał i zupełnie nie umiał dać do zrozumienia skąd idzie i kim jest. Mój mąż jednak nie ustąpił od przekonania, że to musi być Polak, ubrał go jak mógł, wsadził ze sobą na łódź, dowiózł do I-szej katarakty Nilu, potem do ziemi świętej i do Nilu, upatrując w nim widocznie zalety potrzebne mu na służącego, których daremnie szukał od 31-go roku, od wyjazdu z kraju i rozstania się z ulubionym sługą swoim i ordynansem Stanisławem.

Jedną z zalet wysoko cenionych przez mego męża w Michale było to, że nie umiał czytać i że nie potrzeba było przed nim papierów zamykać. Ta jednak zaleta mniej dla mnie wystarczającą się zdawała i co do uzdolnień Michała, mimo nawet przychylnego oceniania go przez pana Krasieńskiego niezawsześmy się porozumieć mogli.

O ile przyjaźń Zygmunta Krasieńskiego była dla mego męża nieocenioną pociechą i osłodą zbolałego życia, o tyle przyjaźń pani Krasieńskiej, mimo różnicy wieku, a może właśnie dla tej różnicy większego jej doświadczenia świata, stała się dla mnie drogocenną. Odwdzięczyłam się jej jak mogłam, w siedm lat później, broniąc ją do upadłego, kiedy wszyscy zrazu po jej drugim zamęściu od niej się odwracali.

Z Badenu pojechaliśmy na Belgię do Paryża. W Louvain zatrzymaliśmy się dla widzenia mnóstwa młodych Polaków, którzy tam nauki odbywali, między innymi Stefan Zamoyski, do którego właśnie ojciec jego p. Zdzisław był przyjechał. Dwaj młodzi Czajkowscy Adam i Władysław, synowie Sadyka Baszy renegaty, którzy tam uczyli się jeden na koszczie ks. Wintenbergskiej, a drugi na koszczie ks. Sapieżyny.

Z Firlemont pojechaliśmy do Brukseli, gdzie poznałam generała Skrzyneckiego i generała Kruszewskiego. Obydwaj niezmiernie po przyjacielsku mnie witali, jako „*zdobyc*“ dla emigracji. Obydwaj oczywiście dużo rozmawiali o terażniejszości i o przyszłości. A ja musiałam zrobić to bolesne spostrzeżenie, że historia ówczesna jest dla mnie zupełnie nieznaną.

Często od tego czasu pomyślałam sobie, że we wszystkich prawie naukach kobiecych ten sam niedostatek czuć się daje i że wiele lepiej by było uczyć historii najnowszej najdokładniej, a starożytnej pobieżnie i że jeżeli którąś poświęcić trzeba, to raczej starożytną, niż nowożytną.

Wszystko dla mnie było nowem: obiad u Skrzyneckich, obiad u Kruszewskich, tak jak obiad u Krasieńskich były dla mnie nowościami, bo nie byłam nigdy na obiedzie u nikogo poza najbliższą rodziną i wówczas tylko dla tego, żeśmy u tych krewnych mieszkali.

Pan Kruszewski chcąc memu mężowi pokazać jak dzieci jego po polsku się uczą, kazał starszej ślicznej córeczce coś powtórzyć na pamięć. Coś w rzeczy samej wyrecytowała, bardzo płynnie, ale co, o tem domyśleć się nie mogłam. Nie mogłam nawet domyśleć się, jakim mówi językiem, czy po francusku, czy raczej po flamandzku. Dowiedziałam się potem, że nam powtórzyła wiersz Krasickiego z Myszeidy: „Święta miłości kochanej Ojczyzny“. — Jakim sposobem generał polski z Polką ożeniony, mógł do tego dopuścić, ażeby dzieci jego nie umiały ani słowa po polsku i żeby najstarsza dopiero zaczynała się go uczyć jakby języka obcego, to dla mnie było rzeczą zupełnie niezrozumiałą, niepojętą. Przekonałam się potem, że to przeniewierstwo nie było wyjątkiem, ale ogólną regułą wśród dzieci polskich wychodźców. Przypomniało mi się boleśnie angielskie przysłowie: Jeżeli chcesz, żeby cię drudzy szanowali, to zacznij od tego, żeby siebie samego szanować.

W istocie skarżymy się coraz, że Moskale i Niemcy język nam odbierają, a sami szanować go nie umiemy. Rzecz to o tyle dziwniejsza, że z Polaków wychodźców zagranicą żyjących, bardzo mało któren nauczył się poprawnie czy to po francusku, czy po angielsku, a mimo to dzieci swoich po polsku nie uczyli. Większość dzieci urodzonych na wychodźstwie stała się straconą dla Polski siłą. A ileżby oni mogli byli przynieść korzyści krajowi, gdyby z polskiem sercem i polską mową przywieźli byli do kraju wszystko to, czego za granicą powinni byli się nauczyć i powinni byli sobie zdobyć. — Jaka grzeszna nieprzezorność.

Za przyjazdem do Paryża, pierwszy który mnie powitał na „gare du nord“, był pan Leonard Niedźwiecki z bukietem.

Z bukietem, tak samo witał mnie zawsze i do ostatniego roku życia swego, na tym samym dworcu, za każdym powrotem moim do Paryża poczywy „Niedźwiedź“ t. j. do 84 roku życia swego.

Za przyjazdem do Paryża zachodziło pytanie gdzie mieszkać. Mój mąż był kupił dom na Qua d' Orléans 6, o czem powiem później; ale w tym domu jeszcze mieszkać nie było można.

Księstwo Czartoryscy, ofiarowali mieszkanie chwilowo w Hotelu Lambert; to które mój mąż dotychczas u nich zajmował i gdzie się wszystkie jego rzeczy znajdowały. Ale mnie się tego okropnie nie chciało, bo pominąwszy że ciasno i niewygodnie, tak wówczas jak do dziś dnia, największy miałam wstręt goszczenia u drugich.

Poprosiłam mego męża, ażebyśmy wysiedli w jakimś hotelu najbliższym dworca, gdzie myślałam że nas najprawdopodobniej nikt nie odszuka i żebyśmy nikomu nie dawali o sobie znać póki nie będziemy mieli odpowiedniego mieszkania. Bałam się okropnie, żeby nas ktoś poprzednio nie spotkał i nie zaprosił do siebie.

Mój mąż się nato zgodził i poszliśmy polować za mieszkaniem i to umeblowanem. Najęliśmy je na rue St. Honoré, w podwórzu w numerach ninparzystych między ulicą d' Alger i ulicą... Mieliliśmy tam salon, jadalny pokój, trzy sypialne, dwa pokoje dla służących. Wszystko bardzo wygodne i przyzwoite, ale kuchnia jakby duża szafa do najwyższego stopnia niedogodna. Patrząc na nią powstał w moim kosszlawym mózgu projekt, z którym nie odrazu śmiałam się odezwać, ale

który z łaski niezrównanej dobroci mego męża, doszedł do skutku. Chodziło mi o to, ażeby służącym strawne dać, żeby oni nam z rana herbatę zagrzali, ażebyśmy na drugie śniadanie i obiad chodzili do jakiegokolwiek restauracji. — Tak się też stało.

Trzeba było potem obejść wszystkich krewnych, przyjaciół i znajomych. Każda nowa znajomość, każda wizyta, były dla mnie próbą wszystkich cnót naraz: posłuszeństwa, obowiązkowości, poświęcenia, męstwa, pokory przedewszystkiem.

Miałam przekonanie, że jestem niepoprawnie głupią, ograniczoną, że nie wiem ani oczem, ani jak z ludźmi rozmawiać; że mam o każdym przedmiocie swoje pojęcia i to nie takie, jakie mieć należy, nie takie jakie między ludźmi są przyjęte i że niepodobna się z nimi odzywać bez narażania się na śmieszność i pogardę. Byłam przekonana, że jestem brzydka, niezgrabna, ciężka, że nie umiem się ubierać, ani między ludźmi się obracać, że mego męża muszę na każdym kroku zawstydzać.

O Apostolstwie.

Oprócz obowiązków względem własnej duszy, człowiek ma również obowiązki względem tych, do których go Bóg zbliża, względem otoczenia: a więc rodziny, społeczeństwa, Ojczyzny, Kościoła.

Nie wystarcza samemu unikać grzechu, trzeba się starać o to, by inni Boga nie obrażali, trzeba szerzyć królestwo Boże wokoło siebie i to jest Apostolstwo.

W porządku wszechświata Bóg posługuje się wyższymi bytami, by panowały nad niższymi. — Widzimy to prawo w królestwie przyrody — istnieje ono też w królestwie ducha, gdzie aniołowie dzielą się na chóry.

Wszędzie są hierarchie. — I my jako szczeble w tem wielkiem dziele Bożem, musimy brać udział w ogromnej pracy wszechstworzenia. I my mamy tam sobie wyznaczone miejsce, sobie tylko przez Boga zakreślony plan, który wykonać nam trzeba. Chrystus nie chce pozbawić nas zasługi, chce byśmy z nim współpracowali w nawracaniu świata.

Gdy był na ziemi dobierał apostołów i przez nich działał. Teraz ludzie potrzebują też apostołów gorliwych, oddanych Bogu, którzyby pracowali nad ich duszami dla nieba.

Sprawiedliwość też wymaga Apostolstwa. Czyż nie mamy na sumieniu nikogo, czy nigdy nikogo nie zgorszyliśmy? Jeżeli tak było, musimy o ile możności przez dobre wpływy, dobre postępowanie, dobrą wolę, to zło naprawić. Sprawiedliwości stanie się wtedy zadość i to będzie nasze zadośćuczynienie.

Różne są sposoby apostołowania: 1^o *Apostolstwo modlitwy*. Modlitwa największą jest potęgą i skuteczniejszą od kazań, przemówień, perswazji; — tam gdzie one nie zdziałać nie mogą, modlitwa zwycięża.

W modlitwie Pańskiej uczy nas Chrystus o co — i jak mamy się modlić. Nie błagamy w niej Ojca niebieskiego w swoim imieniu i nie tylko dla siebie — modlitwa ta jest więc społeczną.

2^o *Apostolstwo przykładu*. Jak można przekonać kogoś o dobroci sprawiedliwości, moralności, gdy się samemu wręcz przeciwnie postępuje? Dobry przykład ma większe znaczenie, niż słowa i za jego pomocą musimy pociągać dusze do Boga.

3^o *Apostolstwo cierpienia*. Jest obok modlitwy najskuteczniejszym środkiem nawracania dusz. Chrystus zbawił nas przez cierpienie. Jeżeli Bóg zsyła na nas przeciwności, choroby, krzyże, — nie marnujmy tego, wdzięczni Mu bądźmy i ofiarujmy te cierpienia za tych, którzy może potrzebują naszej pomocy.

4^o *Apostolstwo słowa*. Jedno słowo w czas rzucone potrafi nawrócić grzesznika, — utwierdzić wątpiącego, zawstydzić bluźniercę, podźwignąć słabego!

5^o *Wreszcie Apostolstwo miłosiernych uczynków* tak względem duszy, jak i względem ciała. „Wiara bez uczynków martwa jest”.

(z kazania ks. Chmielewskiego)

Od 1901 — 1927 r.

Odpowiedź z Poznańskiego na anklętę o potrójnej pracy
(bezimienna).

1.

Gy poznałam Zakład i jego zasadę potrójnej pracy, uderzyło mnie najpierw oryginalne i twórcze ujęcie starej benedyktyńskiej zasady: pracy ręcznej, umysłowej i duchowej. Zaciekało mnie to i działało na moją wyobraźnię. Osoby, żyjące tem życiem, wydały mi się zupełnie

inne niż dotąd znane; jakąś świeżość, krzepkość i promienne ciepło roztaczały wkoło. Czulo się, że znalazły w życiu to, w czym człowiek czuje się, jak ryba w wodzie: wewnętrzny ład i pokój, źródło ciągłego wyrabiania się, rozwoju i pole działania. To mię brało tem bardziej, że sama czułam się wewnętrznie nieuporządkowaną, i niekompletną, a miałam głębokie, choć niezupełnie sformułowane pragnienie opanowania i wyrobienia się, stania się człowiekiem zrównoważonym i radzącym sobie w życiu ze sobą i z drugimi. To też bez żadnego wewnętrznego oporu poddałam się działaniu wpływów Zakładu.

Dotąd do prac ręcznych odnosiłam się z pewnem lekceważeniem, były mi przykre i trzymałam się od nich zwykle zdaleka. Dopiero w Zakładzie, prace domowe nabrały dla mnie uroku, zrozumiałam ich ważność w życiu kobiety, w życiu rodziny i społeczeństwa. Ujęcie ich w system, wydało mi się krokiem ważnym na polu kultury społeczeństwa, nie mającego żadnych w tym kierunku potrzeb. Inteligentne i estetyczne branie się do prac życia codziennego, które pierwsza, nie tylko w Polsce, ale może na świecie, wprowadziła pani Jenerałowa, podnosiło zadanie kobiety w rodzinie, dawało możność powstawania w naszym kraju coraz więcej kulturalnych ognisk, działających na podniesienie poziomu życia polskiego.

Te prace domowe, najpierw w Zakładzie w oczy się rzucające, podane w sposób pociągający i rozbijający, otwierały też oczy na to dlaczego tak działają? Oto dlatego, że tkwiło w nich tyle pracy umysłowej, tyle jasnej skryształizowanej myśli p. Jenerałowej. A dlaczego tak wolę pobudzają, tak serce rozgrzewają? Bo w każdej z nich zakłęta część tej bohaterkiej woli założycielki, która Zakład do życia powołała; bo każda z nich jest wynikiem stałych codziennych wysiłków składanych od lat w ofierze Bogu i Ojczyźnie przez najszlachetniejsze istoty tej pracy poświęcone. Ta praca żyła, życie budziła, życie mnożyła w każdej z nas.

Praca umysłowa w Zakładzie uderzyła mię swoją prostotą i celowością. Chodziło o to co kobiecie Polce istotnie najpotrzebniejsze. P. Jenerałowa stojąca na najwyższych umysłowych szczytach regulowała to jakby bezwiednie.

Z p. Jenerałową każdemu umysłowi byle nie spaczonemu było tak dobrze i swojsko. Kto miał pretensje do jakiegoś wykształcenia, czuł jak wiele mu niedostaje, a jak wiele niepotrzebnych, obciążających umysł do niczego nieprowadzących, niepogłębionych wiadomości lepiej odrzucić; inteligencja uboga, czuła się wobec niej podniesioną na duchu i w miarę możliwości rozwijała swe umysłowe władze.

Praca duchowa w Zakładzie z pracą umysłową przynajmniej dla mnie tak ściśle są zjednoczone, że nie umiem określić, gdzie jedna się kończy, a druga zaczyna. Czytanie Pisma św., rozmyślania pisane, rekolleksje, to ciągle ujmowanie w system umysłowy, głęboki, krzepki i ważki uczuć religijnych, tradycyjalnych, często dziecińczych i nieuporządkowanych, z jakim do Zakładu się przybywało. To co nam podawano z prawd bożych, rozgrzewało i rozszerzało serce, ale trzeba to było równocześnie umysłem objąć i przetrawić i wołę do tego przykuć i przykuwać codzien nowem postanowieniem wysnutem z życia własnego i z własnych duchowych niedomagań. Pod tym względem Zakład jest cudowną i jedyną na świecie szkołą. Oczyszcza, porządkuje i urabia dusze, przywraca im spokój; pomaga do poznania siebie i władania sobą; daje wewnętrzną swobodę. W Zakładzie staje się duchowo i religijnie na drodze prostej, twardej i jasnej, a wychodząc stamtąd idzie się w życie z talizmanem w duszy, który zapewnia moralne zwycięstwo nad złem w sobie w jakichkolwiek warunkach zewnętrznych, a w najgorszym razie, pewność szybkiego powstania z moralnego załamania się.

2.

Mogę powiedzieć, że z małemi zmianami narzuconemi przez życie w innych warunkach i otoczeniu, żyłam przez 10 lat dosłownie i wyłączenie tem, com wyniosła i wynosiła za każdym późniejszym pobytom w Zakładzie. Koło tego obracały się moje wysiłki, moje dążenia, moje uczucia. Praca moja zawodowa, zostawiała mi zupełną duchową niezależność, a Zakład tak silną pieczęć położył mi na duszy, że na wszelkie inne wpływy, albo wcale, albo tylko bardzo słabo reagowałam.

Dopiero po ślubie, praca duchowa i z nią złączona umysłowa, musiały wejść na drogę uporządkowania tego, co mogę zatrzymać w zupełności, a co muszę do nowego życia dostosować; co w duchu Zakładn

zatrzymać się godzi, a z czego w imię roztropności i miłości bliźniego trzeba zrobić ofiarę.

Wyszkolenie Zakładowe oddało mi tu wielką usługę. Pani Jenerałowa niejednokrotnie przestrzegała przed rutyną, która doprowadza do skostnienia; prócz tego, gdy czasem żal mi było moich przywyknień, przypominałam sobie słowo z Pisma św. o „duchu i literze prawa“ i coraz więcej rozumiałam, że Zakład, w myśli pani Jenerałowej, jest szkołą życia, że życie jest żywe i płynne, że trzeba biorąc je takim, jak jest, przeniknąć je ciepłem serca, a ujmować w ramy ładu i systemu oględnie, twórczo, a nie naśladowczo.

I z biegiem lat, wypadków, przybywających obowiązków, przejść wojennych i przewrotów społecznych, dom mój i życie moje i mojej najbliższej rodziny, nie odstępując w duchu ani na włos, od zasad moralnych i religijnych wyniesionych z Zakładu, stał się jednostką pokrewną, o kształcie i fizjonomji swojej własnej, gdzie wszystkie trzy rodzaje pracy są szanowane i uznawane za konieczne, ale gdzie się one nawzajem przenikają i łączą, bez rozgraniczeń i bez prostoliniowego układu, lecz tak jak życie, siły, środki materialne, zadania i obowiązki tego wymagają i na to pozwalają.

3.

Zakład zapomocą potrójnej pracy urabia i hartuje charaktery niewieście. Daje sprawność, giętkość i siłę rękóm, umysłowi i duchowi, tak, że mogą się nagiąć do rozmaitych prac i zadań, zachowując stałe swe właściwe piętno, nadane im przez Zakład.

Potrójna praca, to prawdziwie klucz do zdobycia równowagi, spokoju, panowania nad sobą, a wpływu na drugich, to klucz do zdobycia wykształcenia i niezależności duchowej i materialnej.

Młode osoby urabiane przez potrójną pracę, stają się równomiernie rozwinięte, religijnie i duchowo pogłębiające się. Wyszkolenie duchowe otrzymują w sposób tak godny przedmiotu i w tak doskonałej i zniewalającej serce i wolę formie, że stają się nieprzystępne dla wolnomyślnych haseł. Wykształcenie to, choć ponętne, ale z taką pewną natarczywością wkuwa zasady wiary i obowiązki na chrzcie św. przyjęte w młode dusze, że poprostu wydobyć ich już stamtąd niepodobno.

Zakład podnosi moralnie każdą jednostkę, szanuje ją i uczy szacunku dla siebie samej; podnosi wysoko pierwiastek ludzkiej godności. Pozwala i pomaga każdej młodej duszy odnaleźć w sobie to, co w niej najlepsze i najistotniejsze. W Zakładzie każda po jakimś czasie czuje się wyzwoloną od własnych słabości i różnych naleciałości ze świata a w tem wyzwoleniu czuje się szczęśliwą i swobodnie rozwija skrzydła,

Pamiętam dokładnie w jakim stanie umysłu poznałam przed 26 z górą laty poraz pierwszy Zakopane i Zakład. Jedno i drugie złożyło mi się na zawsze w duszy w jedną organiczną całość. Królewski majestat, świeżość, promiennność i płomiennność Tatr i też same cechy w osobach Założycielek Zakładu i w atmosferze, którą tchnęły w Zakład z taką siłą, głębią i urokiem, że wszystko co w sferę tego dzieła wchodziło, każdy szczegół życia, każdy warsztat pracy, każda osoba, tętniało tym, jakby odśrodkowym potężnym ruchem woli, wiary, miłości, przekonania i trudno nie dodać czaru, zespolonych w niebywałej na świecie intensywności w ich osobach.

Jak Tatry stoją i spełniać będą do końca swe przeznaczenie na naszej ziemi, tak dzieło pani Jenerałowej w przeznaczeniach duszy polskiej spełni swoją misję. Jak mgły zasnuwające w tej porze szczyty tatrzańskie usuwają się pod działaniem słońca, tak dzieło wielkie, jasne, świeże, krzepkie, kryniczne i płomienne zarazem, które największa postać niewieścia w Polsce wczorajszej i dzisiejszej wykuła z duszy własnej i z duszy narodu, zajaśnieje w sposób Bogu wiadomy i wieść będzie naród ku tym przeznaczeniom, które każdy prawy Polak w duszy swej odczuwa, jako tęsknotę za Królestwem Bożem na naszej ziemi.

Sprawozdanie z wycieczki do Raby Wyżnej

(napisane przez uczenicę z kursu instruktorek.)

Wsiadłszy do wagonu zaczęłyśmy bujną wyobraźnią przewidywać jakie nas spotka przyjęcie w Rabie Wyżnej. Na melodję: „Ptaszki są swobodne“ układałyśmy kantatę dziękczynną.

Kiedy dziś do Raby wycieczka wyrusza,
Raduje się młodych kuźniczanek dusza.
Raba się nam wszystkim bardzo podobała,
Każda z nas tu dzisiaj dużo skorzystała.

Kiedy egzamina dobrze pozdamy,
Wtedy na praktykę tutaj przyjedziemy.
Bardzo dziękujemy za taką gościnę,
W dobrej nas pamięci zachować prosimy.

Wesoło nam płynęły chwile w pociągu, gdy nagle powstał szmer, że nasz pociąg przejechał jakiegoś człowieka. Był to robotnik, który się rzucił pod pociąg; co go spowodowało do tego czynu nie wiadomo. Rozmowa przeszła na temat tego zdarzenia i tak dojechałyśmy do Raby Wyżnej.

Raba Wyżna leży w okolicy górzystej, ale nieco łagodniejszej od naszej polskiej Szwajcarii. Więcej tam pól uprawnych i łąk rozległych. W Zakopanem nigdzie nie spotykamy łąnów pszenicy, tam kłosa dojrzewające kłaniały się witając nas.

Z chwilą gdy wysiadłyśmy z pociągu p. Głowińska właścicielka Raby Wyżnej wzięła nas pod swoją opiekę. Wśród spieku i gorąca słonecznego, prowadziła nas skrętami do zabudowań gospodarczych.

Na pierwszy rzut oka różne były spostrzeżenia. Jednych uderzyło to, że te zabudowania były murowane, innych raziło, że podwórze było trochę zaśmiecone. Gospodarstwo jest duże i rozległe, a choć służba liczna, nie posiada co do porządku wyrobienia kuźnickiego.

Pierwszym budynkiem, który zwiedziłyśmy była mleczarnia. Minimalna jest różnica między naszą, a tamtą. Wszystkie naczynia i przybory są takie same, tylko ta zachodzi różnica, że wszystko robi się przy pomocy elektryczności.

Z mleka nic nie wyrabiają, gdyż się nie opłaca, tylko mleko świeże odsyłają, ochładzając je poprzednio w specjalnych chłodnikach, które są bardzo ciekawe. Oczywiście robi się masło dla domu, a także w czasie letniego sezonu dostarcza się kuracjuszom śmietanki kremowej.

Drugim budynkiem była sztuczna wylęgarnia, która ze wszystkiego była najciekawsza. Sprowadzona z Niemiec nie dawała z początku żadnego dochodu, dopiero pp. Głowińscy własnymi siłami i staraniem doszli do tego, że dziś stanowi ich bogactwo. Można tę wylęgarnię prowadzić na wysoką skalę, kłaść do niej naraz 1.000 jaj, ale tego się nie robi, bo niema tyle odbiorców. Zakłada się 400 — 500 a najwyżej

700 jaj. Wymaga to dużo pracy i starania; trzeba dwa razy dziennie wszystkie jaja zwilżać wodą i przewracać na drugą stronę, pilnować temperatury, która w pierwszych dniach ma być wyższa, a potem stopniowo obniżana. Temperatura utrzymuje się przy pomocy inkubatora wodnego. W pokoju, gdzie jest wylęgarnia znajduje się piecyk koksem ogrzewany, a nad nimi rezerwuar, do którego wlewa się 25 litr wody i nieco oliwy, aby woda niewyparowała. Od rezerwuaru idą duże dwie rury okrążające wylęgarnię, przez którą stale przepływa gorąca woda i do rezerwuaru powraca. To jest najważniejsze, aby ogień nigdy nie wygasł w piecyku; osoba, która tego pilnuje wstaje w nocy i dokłada do pieca.

Sztucznie wylęgnięte kurczątko potrzebują w pierwszych dniach tyle starań co niemowlęta. Zabiera się je z wylęgarni i oddaje do sztucznej matki. Jest to rodzaj skrzynki ogrzewanej jak wylęgarnia, gdzie jest trochę siana, a na środku coś w rodzaju gruszki z żelaza na 20 cm. wysokości, około której kurczątko się gromadzą. Przykrywa się tę skrzynię drewnianą pokrywą obitą wokółko dużymi zębami z flaneli.

Nie trzyma się długo kurczątek, ale się je odsyła do miejsc zamówionych w specjalnych skrzynkach, gdzie im jest bardzo wygodnie. Wieczko takiej skrzynki zasnutę jest bardzo grubą nitką w kratkę przez którą kurczątko wychylają swe łebki.

Zwiedziliśmy także gospodarstwo folwarczne, które mniej nas już obchodziło. Kiedyśmy wszystko skończyły oglądać zaproszono nas na obiad. W czasie obiadu zdjęto fotografię.

Po obiedzie p. Głowińska zostawiła nam zupełną swobodę, czuliśmy się jak u siebie. O 5-tej podano podwieczorek, na którym niczego nie brakło, była kawa, herbata, masło, marmelada, bułki i chleb jednym słowem, czego dusza zapagnęła. Wkrótce był czas na pociąg, więc opuściliśmy Rabę Wyżną unosząc miłe wspomnienie doznanej gościnności.

Wiadomości.

Mieliśmy trzy obchody. 1^o Obchód z powodu sprowadzenia prochów Słowackiego. 2^o Trzdziestolecie śmierci Asnyka. 3^o Imienin p. Jaskłowskiej.

Na obchodzie Słowackiego wygłosiła odczyt p. Zakrzewska nauczycielka języka polskiego. Uczennice deklamowały niektóre z utworów Słowackiego. Odegrano scenę z Balladyny i przedstawiono żywy obraz z Anhellego, (Śmierć Elenei) śpiewano Boga Rodzico (duet) i Rzeczpospolita (chór).

Na trzydziestolecie Asnyka, wygłosiła bardzo piękny odczyt p. Jętkiewiczowa; uczennice deklamowały kilka jego wierszy a p. Ziółkowska śpiewała solo „Słonko“, „Siedzi ptaszek na drzewie“ (muzyka p. Zamoyskiej).

Na imieniny p. Jaskłowskiej wypowiedziały uczennice wiersze z Pisma św. Wzięły tym razem z proroków St. Test. ustępy odnoszące się do przyjść mającego Mesjasza.

Wieczorem były żywe obrazy z bajki „Śpiąca królewna“, oraz „Królowa Jadwiga i biedni“. Deklamacje: „Straszna bajka“, „Czemu dziś w duszy dziecięcej“...

Odegrano „Różowa chwilka“ i scenę ze „Ślubów Panieńskich“. Były też śpiewy: „Pamiętam ciche, złote, jasne, dni“ i „Zasmucona“ (obie rzeczy Karłowicza.)

Wszystko było b. dobrze oddane i cały wieczór niezmiernie miły.

Dla uczennic, które już przeszły gospodarstwo folwarczne urządzono wycieczkę dla zwiedzenia wzorowego gospodarstwa w Rabie Wyżnej. Opis tej wycieczki podany był wyżej.

P. Aniela Strawińska jeździła do Płocka na zjazd nauczycielek szkół gospodarczych i zwiedzała tamtejszą szkołę.

P. Justyna Zaleska powróciła w lipcu z Paryża dokąd towarzyszyła p. Zamoyskiej. Zapytywano ją o wrażenia w tej podróży. Powiedziała, że ją najwięcej uderzyło to, że bywając w kościele o różnych porach, widywała na każdej Mszy św. dużo mężczyzn prawie drugie tyle, co kobiet i to nie tylko starszych, ale młodych, i że prawie wszyscy nie tylko słuchali Mszy św., ale przystępowali do Komunii św. Inna rzecz zwróciła jeszcze jej uwagę, że nie widać było na ulicach osób jasno ubranych prócz dzieci; wszystkie kobiety chodzą w ciemnych kolorach, nawet czarno ubrane, ma się wrażenie, że są w żałobie.

Paryż dzieli się na dzielnice, różnią się one jedna od drugiej rodzajem ulic, budynkami i charakterem ludności. W niektórych dzielnicach kobiety noszą ubiory poważne i zupełnie przyzwoite, w innych idą za obecną modą, noszą suknie krótkie bez rękawów, wycięte, ale w kościołach tego się nie widzi, bo nakładają płaszcze.

Patrząc na Paryżanki ma się uczucie, że następuje pewien przełom w obecnej modzie i że tak jak Paryż dał początek złemu, tak da początek dobremu, że nastąpi zmiana mody, która niebawem i na Polskę się rozszerzy. Sprzedające panienki po sklepach są podobno zawsze bardzo przyzwoicie czarno ubrane. Inna rzecz, która uderzyła p. Justynę, to nadzwyczajna uprzejmość ludności. Zawsze wszędzie ustępowano jej miejsca w tramwajach, na kolejach podziemnych; dawano chętnie wskazówki, nawet towarzyszone aby lepiej drogę pokazać. Doznawała na każdym kroku tej uprzejmości od mężczyzn i kobiet, od starszych i młodszych, nawet od dzieci.

Z przyjemnością zauważyła, że w niedzielę już nie widać robotników pracujących, bo socjaliści wymagają, żeby robotnicy mieli jeden dzień w tygodniu wolny, ale w święta nie bywają zwolnieni.

P. Justyna odwiedzała w Paryżu p. de Villers, którą dawniejsze nasze uczennice dobrze zapewne pamiętają. Podupała na zdrowiu, żyje bardzo samotna bo z domu mało wychodzi, ale pogodna, serdeczna, wypytywała się o wszystkich.

P. Justyna jeździła też odwiedzić p. de La Vernetta, 10 godzin drogi koleją od Paryża w departamencie Saone et Loire. Śliczna okolica, dom na wzgórzu, z widokiem na całą okolicę. Po hałaśliwym i ruchliwym Paryżu kraj ten wydawał się jakby zacczarowany i zaklęty w ciszę, w cudny letni pogodny dzień. Wszędzie widać było owoce intensywnej pracy, każdy szmat ziemi wyzyskany i uprawny, winnice, ogrody, łąki, a kraj pogrążony w ciszy jakby w uśpieniu. P. de La Vernetta wybiera się odwiedzić Zakład w przyszłym roku; ją również niejedna z dawnych uczennic pamięta.

P. Stemler prezes tow. Macierzy miał u nas niezmiernie zajmującą pogadankę „O obowiązkach obywatelskich“, może ją podamy w jednym z następnych numerów pismka.

O. Brillet oratarjanin spędził u nas trzy tygodnie, miewał jak zwykle codzienne nauki w kaplicy. Tematem jego nauk w tym roku była tajemnica „Ukrzyżowania“. Mówił o krzyżu i o tem, czego widok jego uczyć nas powinien. O Brillet jechał z powrotem na Warszawę, odprawił Mszę św. na Sewerynowie w kaplicy, gdzie się zbiera kółko warszawskie w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. Widział się z niektórymi paniami tego kółka, które były o tej porze w Warszawie, zwiedził miasto i wieczorem wyjechał.

W końcu sierpnia wszystkie uczennice II oddz. opuściły Zakład na zawsze, po większej części z żalem i łzami.

Ponieważ między końcem jednego roku szkolnego a początkiem drugiego jest 3 tygodnie wakacji, więc dla uczenic III oddz. urządzono wycieczkę do M. Oka. Silniejsze poszły przez Zawrat, inne pojechały wozami.

W początkach września spora liczba była na Targach wschodnich. Szczegóły o tej wycieczce podamy w następnym numerze.

Książki:

Możemy polecić „Trzy podstawy życia duchownego“, Wydawnictwo Ks. Jezuitów, Kraków, Kopernika 26. Sainte Thérèse de l'Enfant Jesus par Gaëtan Bernonville (edit Bernard Grasset. Sainte Thérèse de Lisieux R. P. H. Petitot Edition de la Revue des Jeunes. Paris VI Desclée rue St. Sulpice.

Intencja:

Modlitwa o rozwój duchowy kótek.

Praktyka:

Pamięć na obecność Bożą.

Wydawca: Zakład Kórnicki — Szkoła domowej pracy Kobiet w Zakopanem

Redaktorka Aniela Strawińska — Zakopane, Kuźnice.